

ROK I

NR. 3

# SKAWA

CZASOPISMO LITERACKIE

- JÓZEF CZERNI . . . . . Wilno leży nad Wilią  
ZDENKO NAŽICKI . . . . . List do matki  
STANISŁAW PAZURKIEWICZ . . . Francis Jammes  
FRANCIS JAMMES . . . . . Dom w Sarrailh  
Ogród wiejski  
MAKSIM TANK . . . . . Z kłosami  
JANINA BRZOSTOWSKA . . . . . Za lat miliony (powieść)  
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI . . . . . List  
JULIA WIELEŻYŃSKA . . . . . Coraz dalej od poezji  
do prozy  
WANDA POGONOWSKA . . . . . Samiec  
ROSA BAILLY . . . . . Pireneje  
JÓZEF CZERNI . . . . . Ulica  
MIECZYŚLAW ORSKI . . . . . Młot oręza  
M. MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA Noty z teatru  
Z KSIĄŻEK . . . . .  
PLEBISCYT: KOGO NIE WOLNO POMINAĆ W ANTO-  
LOGII POEZJI POLSKIEJ 1918—1940.

MARZEC

WARSZAWA

1939

CENA 50 GR.

---

# SKAWA

miesięcznik literacki

pod redakcją

JANINY BRZOSTOWSKIEJ

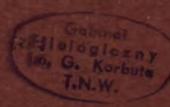


ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
WARSZAWA: UL. NOWOGRODZKA Nr. 23, m. 5. TEL. 9-55-89

Godziny przyjęć redakcji: wtorki 5-7

Cena numeru pojedynczego . . . . .	0.50 gr
W prenumeracie rocznej . . . . .	6.— „
półrocznej . . . . .	3.— „

wraz z kosztami przesyłki i opakowania.



# S K A W A

NR. 3

1939

JÓZEF CZERNI.

## WILNO LEŻY NAD WILIĄ

*reportaż prowincjonalny*

„Wilno leży nad Wilią“.

Najprostsze takie zdanie nasuwa zwykle wiele nie tak bardzo prostych refleksyj.

Dawna stolica W. Ks. Litewskiego, skarbiec zabytków i bogatej historii, obecnie szybko rozbudowujące się 200-tysięczne miasto, północne centrum komunikacyjne w pasie granicznym — posiada już jako takie znaczenie nie tylko regionalnego ośrodka, a powinno stać się wogóle jedną z wybitniejszych pozycji w naszym państwie — zarówno pod względem strategicznym, gospodarczym czy kulturalnym. W moim „reportażu“ chodzi właśnie o ten ostatni punkt, najważniejszy, a najbardziej zaniedbany, o którym teraz zaczyna się na szczęście przynajmniej dużo mówić.

Wilno utrzymuje się naogół w ruchu kulturalnym całego obszaru Rzeczypospolitej. Kontakt ten jest jednak raczej jednostronny. Do nas zjeżdżają prelegenci, koncertanci, zespoły artystyczne różnego pokroju, soliści... Wszyscy oni jadą jakże często z myślą olśnienia „prowincjonalnej miejsciny“ swoim miernym talentem, a kokosowym tupetem. Słabym rewanżem tych „najazdów“ są rzadkie zaproszenia miejscowych piór do pisania... stołecznych panegiryków, wypełnianie rozmaitych ankiet lub udział w zbiorowych i encyklopedycznych wydawnictwach. Czasem ukażą się w niektórych pismach wiersze wileńskiego poety, czasem hiobowe pogromy, zwalające się nagle i nieubłagane na głowy reszty kulturalnej Polski. Z drugiej strony może ktoś przypadkowo nastawi głośnik radiowy i usłyszy naszą „kukułkę“...

Pozornie więc utrzymuje Wilno kontakt, daje znaki o swoim istnieniu, ale w rzeczywistości prowadzi samotniczy, własny, wyobębniający się coraz wyraźniej tryb życia. Kryje się on nie tylko w regionalnym folklorze czy w atmosferze pewnego zadomowienia, ciepła, lokalnych trosk i prowincjonalnych potyczek, lecz także w nieustannym ruchu młodych umysłów, ruchu, który zaw-

sze dąży do bogatszego, intensywniejszego życia duchowego pod każdym względem. Jest to fakt. Wilno jest przedewszystkim miastem uniwersyteckim i miastem kościołów. Wszechnica Batorowa w przeciwieństwie do innych ośrodków akademickich wiąże się ściśle ze społeczeństwem, a przemożnym i nie zaprzeczonym wpływem nadaje ogólny tor nurtowi intelektualnemu, znacząc na nim swoiste wyraźne piętno. Dużo stąd wyszło ludzi znanych i współcześnie. Niestety, większość ich sprzeniewierzyła się kolebce swoich narodzin i opuszcza stare wileńskie mury. Żywy ruch artystyczno-kulturalny miasta skupia się poza U. S. B. zaledwie w kilku ogniskach. Na pierwszym miejscu są to kluby, związki i towarzystwa, zjednoczone w Radzie Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, następnie Teatr na Pohulance, operetkowo - operowa „Lutnia“, wreszcie „Polskie Radio“ i prasa. Jest to parę instytucyj, organów, w których pracuje często jedna i ta sama osoba, łącząc w sobie równocześnie funkcje pokrewnych stanowisk.

### RADA WILEŃSKICH ZRZESZEŃ ARTYSTYCZNYCH

Otóż z tych wszystkich organizacyj, pomijając państwową wyższą uczelnię, Polskie Radio i otoczony pewną opieką Teatr na Pohulance — największą misję kulturalną nałożyła na siebie R.W.Z.A. — instytucja niezależna, do której należą czynni i wybitni ludzie, organ popierający moralnie, finansowo i organizacyjnie wileńską twórczość i niemal wszelką pracę kulturalno-artystyczną. *Ta rada, swego rodzaju federacja artystyczna, jedyna o podobnym celu na całą północno-wschodnią Polskę, rezydująca w 200-tyś. mieście — otrzymuje rocznie do swojej dyspozycji około — 2.500 złotych!!!* W 35-milionowym państwie, cieszącym się 20-letnią niepodległością nazywa się to poprostu *skandalem*. Czyż potrzeby kulturalne Wilna i Wileńszczyzny można oszacować rocznie na wysokość jednej pensji przeciętnego urzędnika? — Suma ta ulega jeszcze notorycznym wahaniom. W tych warunkach Rada przyznaje jeszcze stypendia i występuje z inicjatywą utworzenia studium dramatycznego. W zacisznych murach pobazylińskich, w celi Konrada—dobra wola i poświęcenie wytyczają naszemu miastu kierunek rozwojowy — niemal bez funduszków. Cała tragedia kryje się w tym, że jednostki zasiadające w R. W. Z. A. cieszą się oficjalnym uznaniem, mają odznaczenia — tylko ich praca nie ma bliskich widoków materialnego i systematycznego poparcia na szerszą skalę ze strony czynników miarodajno - państwowych.

A przez pryzmat zasięgu działań wszystkich członków R.W.Z.A. możemy poznać i określić wszelkie dziedziny życia kulturalnego Wilna, poczynając od ruchu wydawniczo-literackiego, a kończąc na konserwacji zabytków i Towarzystwie Krajoznawczym.

## ZYCIE LITERACKIE

Wileński Oddział Związku Zaw. Liter. Pol., członek R.W.Z.A. — moralnie i częściowo finansowo nadaje ton ogólnemu nurtowi literackiemu dawnego grodu Gedymina. Prywatnej inicjatywy w tym kierunku niemal zupełnie brak. Centrum tego ruchu to znane naogół i zyjące raczej dawną sławą „Srody literackie“ z własnym kiedyś o podobnej nazwie wydawnictwem, na których z zasady w iwiej części występują stołeczni luminarze literatury czy publicystyki jako magnesowa atrakcja. Dobrą stroną pracy zresztem jest stałe wydawanie co pewien okres tomików poezyj, które obok „Srod“ przypominają zawsze egzystencję samego związku i dodatkowo świadczą o jego działalności. Poza tym można wspomnieć o niektórych audycjach Polskiego Radia, którego kierownikiem programowym jest p. Tadeusz Łopalewski, równocześnie prezes Zw. Zaw. Liter. Pol. w Wilnie. Audycje literackie rozgłosi wileńskiej faktycznie jednak jeszcze nie istnieją i czekają na realizację i zdobycie pozycji, odpowiadającej stolicy północno-wschodnich kresów. Podobno zależy to od dyrektyw centrali.

Aktualny kierunek stara się utrzymać prasa. Wilno miało z różnymi wydawnictwami literacko - społecznymi dosyć smutną historię. Żadne się nie utrzymało. Ciężar więc przeszedł automatycznie na dzienniki, gdzie pisali ci sami ludzie z tą jedynie różnicą, że znizali lot, otrzymując za to „wierszowe“. Z istniejących dzienników wyróżniają się niedzielne dodatki w „Słowie“, rzadziej ostatnio w „Kurierze Wileńskim“. Zasięg ich ogranicza się na ogół do obfitych a popłatnych recenzji i wzajemnych prowincjonalnych utarczek. Exemplum: — „hukułki - mikułki“ Jerzego Wyszomirskiego i „anatomiczne“ nabieranie Wilna „pod włos“ Anatola Mikułki lub smaczne „brillandy“ i „gruszki“ Teodora Bujnickiego contra „pół żartem — pół serio“ Jana Huszczy. Obiektywnie „Słowo“ jest jeszcze najpoważniejsze i często gości u siebie „zagranicę“ poetycko - literacką, ale tak, rzadko wykracza dodatek poza felietonowo- „grafomańskie“ boje i specjalnie żywego oddźwięku literackiego nie budzi. Zasługuje mimo wszystko na uwagę. Poza dziennikami należy wymienić dwutygodnik kulturalno - społeczny „Sprawy Otwarte“, który wytrzymał już próbę istnienia dwóch lat a ostatnio ożywił się, wprowadzając poetyką kolumnę „W Młodych Oczach“, skupiającą niezrzeszonych i przeważnie młodych autorów. Bezstronnie należy przyklasnąć samej inicjatywie obecnego dyr. teatru dr. L. Pobóg - Kielanowskiego, który powołał do istnienia miesięcznik, poświęcony sprawom sztuki i kultury współczesnej p. t.: — „Comoedia“ — dokąd przeniósł się z całym dorobkiem swojej „Kolumny Literackiej“ Józef Maśliński. Pismo ma widoki rozwoju, ale jego dotychczasowo-

wy, eklektyczny charakter nie wróży jeszcze o powstaniu nowej, walczącej placówki. Po prostu — starzy ludzie — stare boje.

Zycie uniwersyteckie jest naogoł znane. Ów osławiony formalizm polonistyczny nie jest z bliska wcale taki straszny, jak go malują. Wymaga jedynie więcej pracy od tych, którzy chcą mieć jakieś rezultaty.

### KLUB MUZYCZNY W WILNIE.

Tytuł ten wystarczy za szumną i nic nie mówiącą frazę: — życie muzyczne w Wilnie.

Klub Muzyczny, placówka ściśle związana z Ormuzem (Organizacja Ruchu Muzycznego przy T-wie Wydawniczym Muzyki Polskiej w W-wie), członek R. W. Z. A., skupiający sfery muzyczne miasta jest ośrodkiem i pionierem całego wileńskiego ruchu w tej dziedzinie.

Powstał w r. 1935 z inicjatywy profesorów Konserwatorium Muzycznego im. M. Karłowicza z dyr. St. Szpinalskim na czele. Statut stowarzyszenia określa dokładnie charakter związku, kierunek pracy i środki:

Art. 3. Zadania i cele Klubu są następujące:

- a) rozpowszechnianie zamiłowania do muzyki poważnej,
- b) pobudzanie inicjatywy w kierunku pielegnowania muzyki, zakładania szkół muzycznych, tworzenie towarzystw, kół muz. i t. d.,
- c) popieranie kultury muzycznej we wszelkich jej przejawach,

popieranie twórców i wykonawców polskich.

Art. 4. Do tych celów dąży Klub za pomocą:

- a) koncertów symfonicznych, kameralnych i solowych,
- b) odczytów muzycznych i audycji,
- c) akcji prasowej i radiowej.

Konkretnie — Klub opiekuje się przede wszystkim konserwatorium i urządza stałe koncerty, na których występują artyści miejscowi jak i zapraszani z całej Polski. W bież. roku odbędzie się jego jubileuszowa, setna audycja. Własna orkiestra symfoniczna, występująca przed mikrofonem jest właściwie jedną z najpoważniejszych pozycji wileńskiej rozgłośni. Nie obejmuje to jednak całokształtu działalności. Istotnym i najważniejszym celem Klubu jest przede wszystkim *stworzenie i przygotowanie terenu pracy dla wykwalifikowanych muzyków - artystów i pedagogów młodego pokolenia.*

Jest to pionierska misja, rugująca jeszcze w minimalnym zakresie kompromitujące Polskę fakty: — Wysyłamy za granicę na studia zdolnych uczniów - absolwentów, którzy tam zdobywają dyplomy i odznaczenia wraz z obiecującymi na miejscu zaproszeniami otrzymania popłatnych stanowisk. Taki młody człowiek,

związany moralnie i duchowo z ojczyzną wraca jednak do kraju, aby wykorzystać zdobytą wiedzę i własną pracę spłacić zaciągnięty dług wdzięczności. Tymczasem zamiast odpowiadającego kwalifikacjom zatrudnienia otrzymuje zwykle trudem i protekcją wywalczoną pozycję jakiegoś grajka w radiowej orkiestrze! Jak nazwać taki stan rzeczy, kiedy talent, kwalifikacje i studia, w które włożyło się młodość i pieniądze często państwowe — nie dają ani terenu pracy, ani moralnej satysfakcji? — Po cóż w takim razie istnieją konserwatoria i stypendia zagraniczne?

Uprzytomivszy to sobie, możemy dopiero wyobrazić jaką właściwie rolę wziął na siebie wileński Klub Muzyczny. Egzystująca od lat w Wilnie wyższa szkoła muzyczna jest może największą jego bolączką. Wychowawcza ta placówka, stawiająca sobie za cel szerzenie polskiej kultury na Wileńszczyźnie przez tworzenie wyszkolonych kadr młodych muzyków — *jest instytucją prywatną!* Wszelkie wieloletnie starania o upaństwowienie spełzły na niczym. Ostatnio przyznano zaledwie dwa etaty. Jak to wygląda teraz ze strony ekonomicznej? — W Warszawie w państwowym konserwatorium przy ul. Okólnik 1. koszta nauki wynoszą:

kurs niższy na wszystkich wydziałach 100 — 150 zł. rocznie

kurs wyższy na wszystkich wydziałach 200 — 250 zł. rocznie

W prywatnym konserwatorium im. M. Karłowicza uczniowie płaca dosłownie *dwa razy więcej!* Do tego proszę porównać stopę zyciową Warszawy i Wilna a dojdziemy do absurdu: — *najtańsze miasto w Polsce posiada najdroższą uczelnię muzyczną!* Wpływa to nie tylko na frekwencje ale jest przyczyną odpływu zdolnych uczni do innych miast. Kogóż należy przekonywać o słuszności i palacej potrzebie upaństwowienia tej cennej placówki? Czy może odpowiedni resort Min W. R. i O. P.!

Uczelnia która posiada już swoich absolwentów za granicą, rozszerzająca swe wpływy zakładaniem na prowincji nowych szkół muzycznych (Nowe - Świeciany, Mołodeczno) — jest pozostawiona heroicznym wzrost wysiłkom kilku jednostek. Czy ziemia, gdzie urodzili się lub żyli i pracowali muzycy tacy, jak Jan Dawid Holland, Jan Renner, Wiktor Każyński, ks. Pacynka (zbieracz instrumentów muz.), wreszcie St. Moniuszko i M. Karłowicz, czy ziemia ta nie zdoła wreszcie upaństwowienia już zastużonej wyższej szkoły muzycznej, która mieści się w małym i ciasnym lokalu, przynoszącym ułamek zarównu miastu jak i krajowi? — To jest problem oparty na faktach. Wobec takiego stanu rzeczy Wilno nie może zdobyć się na własną wielką kulturę muzyczną a musi ją wiecznie, często niewybrednie importować i to przeważnie ze stolic. Czyż Wilno stale będzie śnić o własnej operze, zazdrościć tej Poznaniowi? Czyż zawsze będziemy oglądać i słuchać przewiezionych, ad hoc zebranych solistów w jakiejś operze na deskach operetki, lub patrzeć na frygający swawolnie balet repre-

zentacyjny w takt odpowiednio dopasowanej muzyki Fr. Chopina, płacąc za to 6 zł. wstępu?

A jak wygląda radiofonizacja wsi wileńskiej! — Gazety trąbią, nauczycielstwo lamentuje, wieśniacy i dzieci pisują błagalne listy do różnego rodzaju „cioć“ i „wujków“ a Polskie Radio, wysławszy do szkół 50 odbiorników — ogłasza przez mikrofony i odpowiednią prasę o dokonaniu wielkiej kampanii kulturalnej...

A takich pytań wyrasta coraz więcej jako świadectwo tego, że „prowincja“ budzi się, że potrzebuje szerszego oddechu, że nie zadawalają jej namiastki i prowizoria kultury, że dąży ona do czynnego wprzęgnięcia się w nurt przemian duchowych całego narodu. Stąd pewna niechęć do „nieprowincji“. Rację miał Jerzy Wyszomirski, pisząc o Warszawie, warszawiankach i warszawistach, których Wilno nie lubi „w ta pora obojętnie“.

Posyłam tę swoją sceptyczną i niezadowoloną korespondencję. Może jej bóle i wołania przesłoni z trudem i powoli skandowane, na pozór nic nie mówiące zdanie:

*Wilno leży nad Wilią...*

**ZDENKO NAŻICKI**

## LIST DO MATKI

U schyłku jesiennych dni  
ku tobie dążę  
mą myślą, a myśl nie ma przeszkód —  
chcesz? możemy oboje o zmierzchu  
w uśmiechu twarz, jak w pęku bzów  
pograć...

Ty tam na wsi dalekiej —  
gdzieś za siódmą górą,  
a ja tutaj, w mieście wdycham powiew zimy  
i patrzę na liście, co za oknem giną  
i wierzę,  
że uśmiech mój zaniosą ci chmury...

Tłum. Andrzej Plichota.



STANISŁAW PAZURKIEWICZ

## FRANCIS JAMMES

W Orthez, zacisznym miasteczku u stóp Pirenejów, zmarł przed kilku tygodniami wybitny poeta francuski Francis Jammes, który żył zdala od gwaru wielkomięjskiego, aby pracować w spokoju i skupieniu.

Wspominana nieraz przez Żeromskiego z należnym szacunkiem twórczość literacka Jammesa (urodz. w r. 1868) jest — jak i jego życie — związana ściśle z małym zakątkiem rodzinnej ziemi na granicy Francji i Hiszpanii, wchodzącym w skład departamentu Dolnych Pirenejów i nie wybiega po za ten zakres. Niegdyś, w okresie rozwoju współczesnych prądów poetyckich we Francji, brał poeta bardzo żywy udział w ruchu literackim, interesował się licznymi programami i manifestami, które przyniósł z sobą symbolizm. Należał bowiem do grupy literackiej, zrzeszonej około wychodzącego w Paryżu czasopisma „*Mercure de France*“, której hasłem stał się przede wszystkim indywidualizm. Jammes wystąpił wówczas z własnym programem literackim, zwanym „jammizmem“, w którym głosił powrót do szczerości i naturalnej prostoty, do opiewania piękna przyrody i wydarzeń codziennego życia. Oto niektóre słowa tego programu: „*Mysle, że prawda jest uwielbieniem Boga, że winniśmy ją głosić w naszych poematach, aby były czyste... Wszystkie rzeczy nadają się do opisu, jeżeli są naturalne*“. To wyznanie wiary poetyckiej — jest przeciwstawieniem symbolicznej poezji życia wewnętrznego, pozabawionej nieraz prawdziwego uczucia lub wypowiedzianej w zbyt wyszukanej formie.

Niebawem usunął się Jammes z tego ruchliwego terenu sporów literackich i osiadł w zacisznym Orthez, aby — stosownie do swego programu — uwielbiać czar ziemi, przyrody, poetyzować zdarzenia z życia powszedniego wzięte i wypowiadać je prosto z serca. Ogłosił przeszło dwadzieścia tomów wierszem i proza, z których tylko „*Le roman du lièvre*“ („*Powieść o zajacu*“) i „*Le poète rustique*“ („*Poeta sielski*“) są przełożone na język polski. Reszta zaś, począwszy od tomu poezji „*De l'angelus de l'aube à l'angelus du soir*.. do „*Ma France poétique*“ (której odpowiednikiem jest u nas „*Mój świat*“ Kasprowicza), powieści „*Les robinsons basques*“ i innych utworów, czeka na tłumacza.

Twórczość Jammesa, zamknięta w szczupłym kregu, opiewa świat, otaczający poetę i zaobserwowane zdarzenia. Nie jest jednak bynajmniej, jakby się to mogło wydawać, jednostajna i uboga, albowiem poeta umiał z życia miasteczka pirenejskiego oraz z własnych uczuć i przeżyć wydobyc bogaty i ciekawy materiał, który uchronił jego utwory od powtarzania i banalności.

Jammes jest rozmiłowany w swym świecie i otoczeniu małościasteczkowym — w tym niewielkim zakresie zna i odczuwa wszystko doskonale: od roślin i zwierząt do ludzi i ich zajęć. Ukochał szczególnie ludzi prostych i szczerych, otoczył również, jak św. Franciszek z Asyżu, serdecznym uczuciem zwierzęta (dlatego tę cechę jego twórczości nazwano słusznie franciszkanizmem). W „Powieści o zającu“ kreśli Jammes bardzo pięknie losy zająca, któremu śniło się, że św. Franciszek, „brat zwierząt“, zabrał go z sobą do raju. Ale nie chce on tam przebywać, gdyż tęskni za ziemią. Mówi w ten sposób: „O Franciszku! O przyjacielu mój, Ty jeden, któremu wierzę, oddaj mi moją ziemię. Nie czuję się tu swojsko. Oddaj mi moje brózdy pełne błota, oddaj mi moje glińniste drożyny. Oddaj mi moją rodzinną dolinę, gdzie trąbki myśliwych wzruszały mgłę. Oddaj mi miedzę, skąd słyszałem dzwoniące jak Anioł Pański sfory o uszach obwisłych. Oddaj mi mój lek, oddaj mi moją trwogę, oddaj mi to wzruszenie, które czułem, gdy pod moim susem wystrzał skosił pachnące mięty. I pójdź, powiedz Bogu, że nie mogę żyć u Niego dłużej“: Zając nie chce więc być w niebie, tęskni za ziemią, gdzie dotąd żył.

Z równie gorącym i szczerym uczuciem kreśli poeta obrazki z życia mieszkańców Orthez. W jednym nawet wierszu modli się Jammes do Boga, aby pozwolił mu po śmierci żyć razem z łagodnymi i szczerymi ludźmi i zwierzętami. Takie tematy sielskie (Jammes sam siebie nazwał „poetą sielskim“), utrzymane w swoistym, pełnym wdzięku tonie sielankowym, stały się treścią jego utworów, powstałych z codziennych przeżyć i obserwacji. Wrodzony zaś optymizm i pogoda umysłu opromieniły słonecznym blaskiem te poezje.

Jako autor „Georgik chrześcijańskich“ zajmuje Jammes wybitne miejsce w gronie francuskich poetów katolickich do których należą Claudel, Le Cardonnel, Guérin i inni. Głębokie uczucie religijne stało się z czasem jednym z głównych motywów liryki Jammesa. „Czczym jest wszystko, skąd Boga wielki mir nie wieje“ — czytamy w jednym z jego wierszy.

Religijność Jammesa — to uwielbienie Boga dusza czwsta i prosta, które dochodzi często, zwłaszcza w ostatnich lirykach, do mistycznych wzlotów.

FRANCIS JAMMES

## DOM W SARRAILH

Czuje jeszcze smak fajki, którą ćmiłem z cicha  
 Przed wieczrą, gdy dzieci rzesza na chodnikach  
 Swawoliła; gdy w progu lat dwudziestu wiosny  
 Miałem kruka posepność oraz — szał radosny  
 Słońca, które rozbłyska w kwietniu, w świeżym  
 sadzie,  
 Łukiem teczy podwójnym, po skończonym gradzie.  
 Otwierałem swe okna obydwa szeroko,  
 Aby użyć spokoju, gdy świat tonał w mroku.  
 Nad wrotami był napis: „Święć się imię Boże!“  
 Tam uwiłem swe gniazdo w pacholectwa porze.  
 Ciemne było; tuż obok starych garbarń mury  
 Odbijały się w rzece steżałej, ponurej,  
 Jednak pomnę, że promyk wśród tych mroków  
 świecił:  
 Na podwórku co roku świeży mak zakwitał!

## OGRÓD WIEJSKI

Znam miejsce rozszemrane przez spienione zdroje  
 W cieniu góry błękitnej, którą chmury stroją,  
 Osnuta jak baldachim z procesją niesiony  
 W jedwab, który najdroższe wydał kokony...  
 Wzruszone, gorzkim sokiem nabrzmiąle topole  
 Tworzą szkółkę spokojną i ciemną. I wołę  
 Winorośle, szpalery i krze pełne płodów  
 Tego sadu niż przepych królewskich ogrodów.  
 Dziewczę, o którym nie wiem, co ci los przeznaczy  
 Radość czy smutek życia, ale sadze raczej  
 Ze smutek (jak jest smutna wiejska ustron szara)  
 Czar dwudziestej swej wiosny kołysz w tych kona-  
 rach!  
 — A gdy kiedyś dni twoje opadną w bezsilie  
 Wspomnisz wówczas te ciche, jednostajne chwile  
 I ten łuk triumfalny, nigdy nie przebity  
 Przez ciebie, co był z wina oraz róż uwity\*).

Tłumaczyła Jadwiga Ważewska

\* ) Utwory wyjęte ze zbioru „Ma France Poétique“.

## MAKSIM TANK

## Z KŁOSAMI

- Opowieść ta jest krótka  
 niby ogryzek papierosa...  
     Widać było niebo,  
     choć chmura kawałkiem siermięgi  
     wisiała siwa  
     na kominach fabryk,  
     na wątych gałązkach  
     brzoźki skulonej obok kłosów...
- Opowieść ta jest krótka  
 niby ogryzek papierosa...  
 — Zaczynaj już!...  
 — Więc miała rok...

Nie modnie zaczynać od lat!  
 Czerwoną chusteczkę pamiętam  
 i słońce jej ócz...  
 Nawet nie pomnę barwy oczu.  
 Więc tak —  
 było to podczas żniwa.  
 Wracałem z sianozęci niwą,  
 a sierp jej błyszczał w skrach...  
 Cóż, czy mam dalej kroczyć? —  
 a stanąć — czegoś strach...  
 Byle tylko z kłosami nie zżęła!...  
 A w piersiach mych coś zapłonęło.  
 Tylko wiosną czasami umie w piersiach tak grać,  
 jak z etapów dalekich zbliżający się wiatr...  
 Zapatrzyłem się, stoję.  
 A ta żnie wciąż i żnie...  
 Zboże taje jak śnieg...  
 Sierp wciąż bliżej jest mnie —  
 Ani stać, ani uciec — jak spętany, aż śmiech...  
 Byle tylko z kłosami nie zżęła!...  
 W złą godzinę musiałem pomyśleć, —  
 czy przeklinać mam los?...  
 To prawda, że nie sierpem,  
 ale tylko i tylko oczami  
 zżęła mię pośród niw  
 z kłosami.

Z białoruskiego spolszczył K. A. Jaworski.

JANINA BRZOSTOWSKA

## ZA LAT MILIONY

POWIEŚĆ.

(C. d.)

Dzieci odczuły nagły dreszcz, słysząc jakie to straszliwe upały panowały niegdyś na wystygłej teraz ziemi. Wydało im się, że powietrze jest dziś wyjątkowo chłodne, i pootulały się ciaśniej w swe tiulowe szale. Tiul gruby i doskonale zachowujący ciepło ciała ludzkiego, a jednak przewiewny, stał się w owe lata najważniejszym materiałem odzieżowym na dni chłodniejsze, i przy pracy wykluczającej ruch na krótszy czy dłuższy (niędy za długi!) okres czasu. Ludzie i teraz nie zawsze mogli obchodzić się bez ubrania. Nie byli tak nieostrożni, by utrzymywali stałe temperaturę powietrza na stopniu, któryby im nawet w czasie spoczynku zapewniał ciepło bez żadnego okrycia.

W tej chwili nawet fioletowe firletki, i ciemniejsze od nich, smukłe gencjany zdawały się drżeć z chłodu w lekkim wietrze, wysytanym z północnego wschodu, poprzez kępy karłowatych ciemnych sosen.

Głos wykładacza przycichł nieco, oznaczało to zbliżanie się końca lekcji, i zaostrzało uwagę.

— W tych czasach, tak szczęśliwych, gdy wspomnimy choćby tylko wspaniałą bujność roślinności na ziemi, w pełnym właśnie wówczas stojącej rozkwicie, i bogactwo przejawów życia, jakie sama, bez pomocy człowieka, pod gorącymi promieniami słońca tworzyła, ludzie czerwoni, żółci i smagli mieszkali w klimacie pośrednim, a najbielsi w dalej od równika położonych, ale jeszcze gęsto zamieszkałych częściach ówczesnych lądów.

— Ci najbielsi, rzecz interesująca, nienawidzili tamtych o skórach kolorowych, traktowali ich z wysoka — poprostu nimi gardzili. W owych ciemnych, posępnych dniach rozwoju człowieka — nie ziemi, ta była wówczas najpiękniejsza — wzajemna też od nich odbierali nienawiść.—

— Czy to możliwe, nienawidzić kogoś za to tylko, że mu słońce mocniej ubarwiło skórę? zapytało jedno z dzieci, szczerze zdumione i zaskoczone słowami wykładacza.

— Wszelkie zło było wówczas wśród ludzi możliwe — potwierdziła Ilena, sama zgrozą przejęta.

— Ale dlaczego?! brzmiało dobitniej postawione pytanie.

— Bo ludzie stali jeszcze wówczas na bardzo niskim stopniu kultury, choć już wiele o niej mówić zaczęli. Historia nazywa dziś owe czasy „epoca człowieka okrutnego“, albo „wojowniczego“. Niedaleko od dzikości zupełnej odbili, choć nieraz niestychaną odznaczali się pychą, i nienawiść bez porównania więcej wśród nich była rozpowszechniona.

szechniona niż nie powiem już miłość, ale choćby niezłotliwa życzliwość wzajemna... tłumaczyła Ilena.

„Nienawiść“... słowo to było tak obce młodym słuchaczom. Na-leżało do gatunków zaginionych i bardzo trudno zrozumiałych uczuć —

— Dziś już wszyscy ludzie są biali, i to bardzo biali, bo jak wiecie siła działania słońca znacznie osłabła, a nasze sztucznie działające słonecznice barwy ciał nie przyciemniają nigdy na tyle, aby dzieci rodziły się ciemnoskóre. Opalają tylko nietrwale. Zresztą nikomu nic na tych sprawach nie zależy...

Wieki, w ciągu których stopniowo i coraz dosłowniej wprowadzano życie pod szklanym stropem, i w końcu za jedynie możliwe dla ludzkości je uznano, nie wydały ani jednego człowieka nie tylko już czarnoskórego, ale nawet prawdziwie smagłego! Dziś jedna jest tylko rasa i jedna barwa skóry, biała.

— Sprawa, którą z taką zaciekłością zaprzętałi sobie głowy pierwotni biali ludzie, obawiający się, że czarni „zepsują“ białą rasę, nie istniała teraz. Jak wiele innych spraw, o które „śmiesznie wówczas złościli się i denerwowali, znalazła swe rozwiązanie poza nimi. Raczej — rozwiązał ją sam klimat. Pod zimnem niebem nie mogli rodzić się ludzie kolorowi.

— Słońce nie wygasło jeszcze — gdyby do tego doszło, nie istniałoby życie na planetach wokół niego krążących. Było nawet straszliwie gorące, ale nie na tyle, by tysiące kilometrów, dzielące je od ziemi, nie zmieniły bardzo znacznie mocy promieniowania.

Słowa wykładacza pochłaniali młodzi słuchacze z uwagą. Nad ich głowami niebo przeglądające przez przejrzysty strop miało barwę bladych ametystów. To różowawe promienie słońca, które zbliżało się do zenitu, bardzo jasnym fioletem przełamowały się w modrej atmosferze ziemi. W tym świecie i pod takim niebem jakże obca wydała się młodym umysłom owa odecała epoka, kiedy ludzie byli kolorowi, dzielili się na rasy i — nienawidzili wzajemnie...

Naraz perlisty wytrysk fontanny w położonej obok klasy pływalni oznajmił koniec lekcji.

Pod żywopłotem okalającym plac szkoły zobaczyła Ilena oczekującą Wilę, i razem teraz ruszyły na obiad. Po drodze spotkały jeszcze Stana, syna Ileny, który zaraz do nich się przyłączył. Szli rażno — już głodni.

Wciąż jeszcze cała ta strona dziedzin zamieszkałych, którą miłali była wspaniałym bujnym ogrodem, dzielnicą parków szkolnych dla całej młodzieży z terenów zamieszkałych. I tu wśród tak jasno szmaragdowych i pachnących, pośród drzew i kwiatów chronili ludzie swoje dzieci. Tu rosły, uczyły się i bawiły, tu przeładały się w zwierciadłach jezior i strumieni, obramowanych niezniszczalnym plaqranitem (stop specjalnego gatunku granitu z platyną), a w chwilach wypoczynku modły wsłuchiwać się leżąc na chłodnej murawie w szum liści gaju poruszanego naozowanym powiewem wiatru, nie myśląc o tem, że to piękno, które je otacza, kryje w sobie gorzkie ziarna tragizmu, pęczniące śmier-

cią, zagładę.

Dawni ludzie, żyjący na ziemi życiem jeszcze darzącej, na obszarach wolnych, powiedzieliby, że panowała tu niepodzielnie roślinność cieplarniana. Ale nie byłoby to określenie trafne, bo powietrze nie było tu ani gorące, ani duszne i wilgotne, jak w ich cieplarniach, raczej suche, i nieraz dobrze chłodne, a roślinność mimo pozornej delikatności bardzo była wytrzymała.

Wila, Ilena i Stan spotykali po drodze nauczycieli i nauczycielki, dzieci i starszą młodzież. Wszyscy szli na obiady do wspólnych gospód.

Niektóre z mijanych dziewcząt czy chłopców uderzały wzrok szczególnie dziecięcymi cechami szczupłych postaci. Mimo że wychowywały się pod znakomitą opieką, mimo że z największą troskliwością starano się o to, aby je należycie rozwinąć i uodpornić, pozostawały wątłe i delikatne. Z nich napewno już „Najuroczystsze Święta Płodności“ (Święta przekazywania życia) nie wyprowadzą potomstwa. Pozostaną infantylne, niezupełnie rozwinięte fizycznie, i zginą kiedyś, nie pozostawiając następców. Jeszcze tylko przez czas swego życia pomogą w pracy społeczności ludzkiej. Gdy ich zabraknie może znów zwinąć wypadnie jakąś mniej konieczną gałąź przemysłu...

Spotykało się tu jednak także dzieci — co prawda bardzo nieliczne — wyglądające doskonale i pełne życia. Uczyły się jeszcze razem z innymi, zależnie od zdolności, ale należały już do młodszych zespołów, tworzących tak zwane zastępy „wybranych“. Może przynajmniej niektóre z nich zdołają zostać matkami i ojcami. A jeśli uda im się osiąść na Nowym Globie, pobyt tam wzmocze jeszcze ich siły żywotne.

Właśnie Stan, syn Ileny, należał do zastępu takich dziesięciu najzdolniejszych, najwytrzymalszych i najsilniejszych młodzieńców, wybieranych już od kilku wieków z pomiędzy wszystkich chłopców każdego z kolei pokolenia. Był właśnie bliski ukończenia poważnego instytutu naukowego, którego zresztą jako mocny i zdolny, był prawdziwą chlubą. Instytutami nazywano szkoły specjalne, zawodowe, do których i „wybrańcy“ przydzielani byli podobnie jak cała pozostała młodzież, po ukończeniu ogólnych działów wiedzy, według swych uzdolnień i upodobań, aby także rozmaite gałęzie wiedzy mogli opanować.

Z nim to i z jego towarzyszami oraz dziesięciu towarzyszkami robili swe doświadczenia i układali plany przyszłości człowieka pracujący nad jaknajlepszym jego rozwojem uczeni fizjologowie, biochemicy, higieniści. I nietylko oni.

Ilena po drodze rozmawiała ze Stanem nad czem pracuje w instytucie i zastępie, jak się czuje... Pytała jak wszystkie matki.

Wreszcie inna ją sprawa zajęła.

— Jakżesz tam koleddy? koleżanki? masz jakiegoś serdecznego przyjaciela, przyjaciółkę?

— Wszystkich lubię... brzmiała spokojna odpowiedź. — Z wszystkimi jestem w przyjaźni.

— I żadna z koleżanek nie podoba ci się więcej nad inne?

— Nie...

Odpowiadając Stan spojrział na matkę zdziwiony. Nigdy dotychczas nie zadała mu tego rodzaju pytania.

Naraz odczuł jej myśli.

— Zastanawiasz się nad tem, czy któraś nie jest mi choć trochę miłsza nad inne? Czy mi się więcej nie podoba? Niel Niel! Nie wyobrażam sobie nawet jak się takie wyróżnienie odczuwa...

Matka westchnęła — choć nie spodziewała się innej odpowiedzi.

Uczelnię, w której Stan studiował, kończyło się w trzydziestym roku życia. Był to instytut budowy samolotów międzyplanetarnych, obejmujący wiele trudnych i poważnych studiów. Stan dobiegał właśnie trzydziestu lat, lecz możnaby go uważać za starszego, gdyż lata te były z powodu powolniejszego obrotu ziemi nieco dłuższe niż przed wiekami, n. p. w XX w., ery tak zwanej „po Chrystusie”. Jednak mimo to mocy rozwijania istnienia nie miały i człowiek sam sobie swe życie, wbrew przyrodzie wystygłej ziemi zdobywał, przyczem rozwój jego był bardzo długotrwały i Stan wyglądał młodo, chłopięco. Ponieważ przytem był zdrowszy i silny, należał do zastępu wybranych jako jeden z tych, w których męskości ludzkość mimo wszystko jedyne pokładała nadzieje... tem bardziej, że policzki jego lekkim, męskim poczęły zarastać puchem. Poza młodzieżą z zastępu wybranych było z temi sprawami o wiele gorzej. Większość kobiet w dojrzałym wieku miała wygląd zupełnie infantylny, dziecięcy, przez całe życie. Mężczyźni, nie dochodzący do pełnego rozwoju, na chłopięcych twarzach nie zarastali. Nie posiadali wtórnych cech płciowych.

Świetną inteligencją słusznie mogli się szczycić — dziedziczyli wspólny rozwój mózgow po tysiącleciach kultury swych przodków. Jednak, gdy szło o wytrzymałość w pracy umysłowej czy fizycznej, nigdy nie dorównywali swym towarzyszom lepiej płciowo rozwiniętym.

Tak zwana przed wiekami „niewinność”, „dziewictwo”, które nazywano cnotą, choć zakłamana to była i przeciwna prawom natury „cnota”, zwyrodnienie i okrucieństwo miast nowego życia rodząca, z konieczności o wiele była teraz częstsza niż normalne życie płciowe, z którym niegdyś, w owych pradawnych a także pełnych przewrotności czasach, usiłowano w imię świętości walczyć, jak z grzechem „śmiertelnym”.

(d. c. n.)



## LUDWIK SWIEŻAWSKI

## LIST

Imię twoje jeszcze mnie odurza,  
imię twoje jest jak ciemna róża.

Byłaś wichrem rwącym!

Wieczorem pachniały  
kwiaty i twoje włosy,  
a potem nagrzanej upałem rzeki  
grążące ciepło i czułość.

Może wiersze zadrzą ci w ręce,  
gdy między nie włożę ten list.

W podcieniach drzewa krople słońca  
leżą na stole.

Październikowy ma zawiać chłód,  
drżysz przed chłodem.

Liście są jak twoje listy liliowe.

Wiem, że to minęło,  
długo smutno żegna nas jesień  
rozwianą chustką liści.

Słońce blednie,

słońce, które jaśniało przez wszystkie dni,  
przez huczną radość, smutki i szarość zmierzchów.

A dziś już może widzisz astry zważone mrozem.

Zostań. Życie drwi z miłości.

Tyle było wiosen i czeresień  
a tylko jedna jesień.

Na przyszłość mamy dużo. Ale co mamy na teraz?

Może to już ostatni wiersz dla ciebie,

dwa suche liście upadły na stół

i długo jeszcze będą szeleścić w wierszu.

JULJA WIELEŻYŃSKA.

## CORAZ DALEJ OD POEZJI DO PROZY

(Dokończenie).

Jednak naturaliści francuscy to stanowczo jedno źródło. Za drugie radabym uznać „Jean Christophe’a“, tę, która olśniła świat cudowną powieścią bez jądra, tylko z katolickim tokiem, z człowiekiem wziętym pod długoletnie skrupulatne patrzenie. Lecz arcydzieło to stoi silnie pod słońcem powołań sztuki, a także pod słońcem geniuszu bohatera. Sam Romain Rolland dał mu skromniejszą towarzyszkę, równoległą „L'âme enchantée“, bliższą tonowi dzisiejszemu przez całą różnicę wysokości protagonistów. Uderzony przez Romain Rollanda klawisz w „Janie Krzysztofie“ wywołał oddźwięk w *vies romancées*, gdzie się uwypukła podwójny charakter zasadniczy: powieść i dokument. *Vie romancée* idzie od nauki, od teorii, od monografii ku krasotwórstwu, powieść na jej spotkanie dąży dzisiaj od belletrystyki ku *etiudzie*, ku rzetelności badawczej.

Jeżeli nie bez wpływu na powstanie tego nowego rodzaju były, poza literaturą francuską, powieści północne i nieco rosyjska, polska na rzeczy nie zaważyła. Znadto nosiła na sobie piętno służby ideowej, zbyt wyłącznie żyła dla krajowych celów obywatelskich. Pozornie próbą na tej drodze było „Bez dogmatu“. Jeżeli uznamy ten utwór za rodzaj wypowiedzi pamiątkowej i zestawimy z Proustem, wyczuwamy kierunek, w jakim idzie duch epoki. „Bez dogmatu“ nie ma zupełnie bezfaktowości, owszem fakty są duże i ważne: śmierć ojca, wyjście zamaż ukochanej kobiety, znajomość z zagraniczną gwiazdą, tylko przez niereakcyjność bohatera wszystkie one tracą konsystencję; dla kogo innego mogłyby być progami tragizmu i kataklizmów. „Bez dogmatu“ wygłąda w porównaniu z dzisiejszą architekturą na kunsztowną rezydencję samotnego pięknoducha.

W naszych oczach rodzi się epoka nowa, nie znamy jej wcale, ale czujemy nieomylnie, że stoimy u jakiegoś końca i jakiegoś początku. A dawne doświadczenia uczą, że każdy pierwszy dzień nowej ery ma swój literacki spółton: epopeę. Epopea to stara wielka opowieść bohatera, wzięta w tradycyjne miary, patetyczna od zewnątrz, wyogromniona od wewnątrz. Obok liryki, która działała niemotorycznie, te kolosalne złomy twórcze, kąpiące się w blasku sławy lub nurzane w czarnościach występku i grozy, razem z rozkoszą piękna, dawały dreszcz i bodziec aktywności. Strawa młodych epok — epopea — nasyciała w sennych czasach głód czynów, tęsknotę bohaterstwa i nieśmiertelności. W historii ras i narodów każda cywilizacja otwiera się eposem, czy to Indje, czy

Grecja, czy przeddziejowe mroki germańskie, czy dziecięca wiosna średniowiecza, czy nawet potem odrodzenie, z tą różnicą, że bezimienna dotąd epopea tka się tutaj przez ręce indywidualnych autorów: Ariosta, Camoënsa, Tassa. Ale w przejściu tem traci pobiask namaszczonej powagi. — Nimb wogóle gaś na epopei razem z płynięciem dziejów; zrodzona wśród bogów, na pograniczu mitologii i poezji, zsuwała się przez nadludzkich bohaterów do historycznych wielkich postaci, do ludzi coraz zwykleszych, bliższych. W „Panu Tadeuszu“ dalekość już jest lat dwudziestu paru, od dzieciństwa sielskiego - anielskiego do wieku męskiego, wieku kłęski swego autora, a ludzie są szarzy. W „Panu Balcerze“ niema żadnej odległości czasowej, a bohaterowie próstaczki, ledwie że pismienni. Sądziłibyśmy, że dokonał się cykl eposu, że w dzisiejszosci nie będzie dla niego miejsca.

A on tymczasem zabiegł z nowej strony. Stał na drugim brzegu w stosunku do obecnej rzeczywistości, inaczej się odciął, niż przez dotychczasowe wyolbrzymienia psychiczne i wydarzenia niowe, niż przez mocniej nasilony światłocien, lub odejścia perspektywiczne. Jeżeli w epokach o nikłym nurcie podniecał gorącą pulsą, dziś, w okresie gorączki i pędu, odprowadza w zaciśniętą zwolnionych temp i bezważności wydarzeń. Kiedy nam rzeczywistość przeżywana dla żadnego nerwu nie dopuszcza momentu spokoju i opadnięcia, kontrast ten jest tak silny, że dzięki niemu nie potrzeba już najmniejszego nawet pozorów ściany wstawiać między widzów a bohaterów, jak dziś przestano w pewnego typu teatrach wsuwać przedział między widzów a scenę. Niemożność wyczerpania do dna jakiegoś przeżycia lub wrażenia w szumiącym kotłowisku, w rozstrzelającej chłonności gonitwie podniet i wypadków, ma doskonały drugi brzeg w spokojnych zatokach szarych istnień, w ledwie dostrzegalnym posuwaniu się skazówek zegarowych powieściowego świata. Te cykliczne eposy, dzieje rodzinne Forsytów, Budenbrooków, suchotników w sanatorium szwajcarskiem, pp. Niechciców pod Kaliszem i tylu im podobnych, stojąc na antypodach przeżywanego dnia, są tak samo dopełnieniem naszej egzystencji, jak drugą półkulą, dopełnieniem egzystencji młodych plemion były ich poematy heroiczne. Odwrócenie się naszego życia w stosunku do ich życia tłomaczy odwrócenie się i uczuciową od tego życia ucieczkę: od czczości w pełnię i od zbytnej pełni w słumienie.

Czyżby więc dzisiejszy człowiek zasypał źródło wyobraźni, nie potrzebował karmi barwnej a czarującej, zrezygnował z emocji, z niezwykłości i dziecięcej beztroski? Przeciwnie, tylko inny odłam twórczy podjął się sycenia tych łaknień. Człowiek naszego wieku zmienił swoją komunikację z cudownością. Dawniej prowadziły do niej przygodne ścieżki imaginacji jednostek, dziś idzie pewny, wyasfaltowany trakt techniki. Technika przekro-

czyła śmiałe możliwości wyobraźni i usynowiła jej dziecko: cud. Nie potrzebujemy odtąd, zalekniemi i zdyszani, isć samopas na poszukiwanie basni; baśni sama szczerze spływa do nas, nie do wybrańców, ale na rynki, do gawiedzi, przed oczy tysięcy. Wynalazek zdemokratyzował piękno, z samotnych rojeń zrobił je jednoczesnem przeżyciem całej ziemi, dzięki przesadzeniu jego magicznego korzenia w inny grunt. Kino, radjo, efekty reklamowe, coraz nowe zwycięstwa techniki otwierają tak szeroko egzotyzm, prądzieje, nawet inne gwiazdy, dają heraklesowe boje z potworami dzikich łądów, olśnienia światła, płataninę rzeczy możliwych i niepodobnych, że wobec już ziszczonych i idących ku ziszczeniu czarów świat powieściowy musiał zeskromnieć, usunąć się, wypracować sobie inne miejsce i inną funkcję społeczną. Literatura, zyskawszy groźną rywalkę w sztuce zaszczepionej na technice, musi wogóle, pierwszy raz od chwili powstania ludzkości, zastanowić się, czem ma być nadal? W kinie jest zasadniczy splot optyczności z literaturą, narracyjnego trwania z rozkoszą wzrokową. Póki czemś podobnem, na stokroc skromniejszą skalę, był teatr, literatura i dramaty mogły być równoległością. Dzisiaj trzeba wybrać jeden moment lub drugi. I oto mam wrażenie, że poezja staje na kinematograficznej migawce barw, przelotności, jako wystarczającym fundamentem, czyli traci to, co nazywalibyśmy, już nie klasycyzacją, ale poprostu wytrzymałym obrysem, i brata się, jakem zaznaczyła, z wiotczącą, bo intelektualizującą się plastyką. Tymczasem powieść bierze na siebie stronę drugą: kinową ciągłość, taśmowość, miłowy tor i rezygnuje ze strony kraszy zewnętrznej na korzyść eksperymentu psychologicznego.

Dalekość między dwiema dziedzinami uderza jaskrawo na przykładzie powieści kilku dzisiejszych młodych poetów, Brzostowskiej choćby, głównie jednak Jalu Kurka. Z jednej strony liryka: kalejdoskop mignięć, kołowrot wizyjnych skrawków, z drugiej przez piachy realizmu skrupulatnie ubijane trakty powieściowe. Kąt między niemi w zamknięciu jednej i tej samej jednostki, jest o wiele rozwartszy niż między dwiema obcemi sobie indywidualnościami twórczemi.

Czy wobec zawrotnego tempa czasów jest to naprawdę stanowcze, raz na zawsze rozdroże, czy tylko chwilowe rozejście się, aby jutro się spotkać w nowej kombinacji, — niebezpiecznie byłoby wieszczyć. To też kartki niniejsze nie wychodzą poza skromną uwagę, że dzisiaj, ale może tylko dzisiaj — tak właśnie, a nie inaczej się dzieje.

---

Szkic ten nie uwzględnił podnoszącej coraz mocniejszy głos liryki społecznej, chlubnie rozpoczętej przez Kwadrygę. Dowód to pośpiechu czasu, który już zdążył odmienić gest od niedawnej chwili napisania niniejszych słów do ich ukazania się drukiem.

WANDA POGONOWSKA.

SAMIEC

SCENA II Z AKTU I

*Genia:* Poszedł? Znowuście się kłócili?

*Lodzia:* E, tam! Co ci do tego?

*Genia:* Nic, ja tylko tak po dobroci, bo mi cię żal.

*Lodzia:* Pilnuj swego nosa.

*Genia:* Co ciebie dziś ugryzło? Zawsze ci mówię rzuć tego chopa. Sama nie dojesz, to już mniejsza, bo zato leńję masz, jak się patrzy, ale obdarta chodzisz, poprostu obdarta. Ot teraz dla przykładu, zamiast sobie sukienkę sprawić i wszystko, jak się patrzy, znowuż w niego wszyściutko wsadziłaś.

*Lodzia:* Lato, nie miał całej koszuli, musiałam mu coś kupić przecież, gdy do roboty znów chodzić zaczął. Ale on zły nie jest! Czekał, w sobotę po wypłacie kupi mi ładną jedwabną sukienkę.

*Genia:* Obiecanka cacanka. Ale to głowa ze mnie. Rozeźliło mnie, żeś się znów z Karolem kłóciła i zapomniałam z czym przyszłam.

*Lodzia:* No?

*Genia:* Pamiętasz tego frajera co się to do nas w tramwaju przystawia?

*Lodzia:* No?

*Genia:* Wiesz co? Wczoraj wieczór zbiegłam po ogórki do sklepiku, nie, nie po ogórki, po mydło. Zaraz ci mnie jucha poznał, choć przecie nie byłam ubrana, ino tak w chusteczce. Taki psiakrew orjentalny do wszystkiego!! Zaraz zaczyna: „Dobry wieczór, panno Geniu“. Nawet imię zapamiętał.

*Lodzia:* (zaciekawiona) No?

*Genia:* Ano, nagadał ci mi tyła, że to on niby chce nas, ciebie i mnie bliżej zapoznać, że my, to jest ty i ja, bardzo mu się podobamy. A czy ja tu mieszkam, a gdzie ty mieszkasz? — Ja mu zaraz, że nic z tego, bo ja z famielją mieszkam i że ojciec kawalerów na zбитy pysk ze schodów zrzuca, a u ciebie też matka i brat. Nie mówiłam, że Karol to twój kawaler, na co ma wiedzieć?

*Lodzia:* Nie mówiłaś?

*Genia:* A na co? On ci mnie puścić nie chciał, tylko żebym się umówiła, gdzie i kiedy się spotkamy. W mieście czegoś nie chciał psiapara, tom mu już z musu twoje mieszkanie wskazała, ażeby rano przyszedł przed ósmą, bo wtedy sama jesteś, że to i Karol i mama już w zajęciu.

*Lodzia:* Pocoś to zrobiła? (z lubością) Karol taki o mnie zadrosny, jak by się tak, broń Boże, dowiedział?

*Genia:* To mu powiesz, że facet pomyłkowo tu zaszedł.

*Lodzia* (robi sobie usta, poprawia brwi i pudruje nos): Ja na niego czekała nie będę, przed dziewiątą musowo trza być w magazynie.

*Genia:* Nikt ci też czekać nie każe!

*Lodzia:* Ja muszę jeszcze do Mańki na moment skoczyć względem tych pantofli.

*Genia:* Jakie znów pantofle? Nic nie wiem!

*Lodzia:* A to ci jakaś paniusia za ciasne sobie kupiła. Matka Mańki tamoj do prania chodzi. No i ta paniusia nijak teraz pedału w te pantofle wetkać nie może, a dla mnie podobno dobre być mają, nie wiem....

*Genia:* Tylko żebyś nie dała sobie wsadzić jakiegoś śmiecia.

*Lodzia:* E tam, mam przecie oczy i dziecko nie jestem. (wychodzi).

### SCENA III.

*Genia:* (Zapała papierosa i układa się w swobodnej pozie na tapczanie): No teraz przyjdź bratku!

*Ryszard* (niestary, spasiony burżuj - intelektualista staje w progu i puka dyskretnie w futrynę): Czy można?

*Genia:* Proszę! (nie zmienia pozy).

*Ryszard:* Sama jesteś? Dzień dobry malutka!

*Genia:* Dzień dobry panu (przeciąga się leniwie).

*Ryszard* (odrazu bardzo agresywny): Kociątko moje samo?

*Genia* (lekkko się broniąc): Panie! moja sukienka! Pomnie mnie pan!

*Ryszard* (siadając obok niej i obejmując ją): Nie pomnie, nie, zna się na rzeczy, umie być ostrożnym, krzywdy nie robi. (całuje ją coraz namiętniej): Stefa!!

*Genia:* (zachnęła się): Jaka znów Stefa? Co panu jest?

*Ryszard:* (śmieje się): Nic sobie z tego nie rób, ja zawsze, jak bardzo kocham, mówię „Stefa“, takie moje przyzwyczajenie.

*Genia:* To teraz się pan odzwyczaisz. Wóz albo przewóz.

*Ryszard:* Phi, jaka mi dumna! Co ty wiesz dziecko? To jest wielki zaszczyt dla ciebie, jak cię nazywam „Stefa“. Stefa to moja żona.

*Genia:* (w pasji): Wynoś mi się zaraz precz do swojej starej! Nie, jeszcze czegoś takiego w życiu nie widziałam! To poco pan

tu przychodzi, jak pan tak bardzo żonę kocha? Czemu pan żadnej kobiecie nie da przejść spokojnie?

*Ryszard*: Co ty wiesz mała? (chce ją pogłaskać).

*Genia* (zrywa się, jak oparzona): O co to, to nie! Mam już pana dość! Niech pan sobie czemprowadź wraca do swojej Stefy!

SCENA IV.

(wchodzi Lodzia, w rękę para pantofli, którym się przypatruje)

*Ryszard* (do wchodzącej): Dzień dobry pani!

*Lodzia* (udając Greka): Pan uważa?

*Ryszard* (siada): Panna Genia nic nie mówiła?

*Lodzia*: Pan życzy?

*Genia*: Lodziu nie udawaj. (na korytarzu głos ostry „Geńka“)  
Oj wołają mnie, przepraszam. (wybiega).

*Lodzia*: Szuka pan tu kogo? Stolarza?

*Ryszard* (wstaje i bierze ją za rękę): Pani szukam, panno Lodziu. Takiej wiosny w uśmiechu ust i oczu dawno nie widziałem.

*Lodzia*: Niech się pan lepiej odczepi.

*Ryszard*: Spodobał mi się uśmiech pani. Dusza wyziera z oczu pani i z uśmiechu, piękna dusza.

*Lodzia*: E, zawracanie głowy! Już ja was znam. Każdy tak zaczyna od słodkich słówek i uśmiechów... Proszę stąd odejść.

*Ryszard* (w odpowiedzi rozsiada się znów wygodnie): Ani mi się śni. Nie poto tu przyszedłem, by zaraz odchodzić. Mamy czas.

*Lodzia*: Muszę dziś wcześniej wyjść, a zresztą nie mam wcale zamiaru z panem wychodzić.

*Ryszard*: Dlaczego, panno Lodziu? Dlaczego? (zagląda jej w oczy). Niech się pani na mnie nie gniewa, no proszę się uśmiechnąć.

*Lodzia*: Poco pan tu przyszedł?

*Ryszard*: Chciałem raz tak spokojnie porozmawiać z panią. Pani ma jakiś smutek!

*Lodzia*: Skąd pan wie?

*Ryszard*: Widzę po oczach pani. Pani nie powinna mieć smutków, taka młoda i taka wiośniana.

*Lodzia* (ze smutkiem): Nie jestem już taka młoda!

*Ryszard*: Dziecko, mógłbym być ojcem pani. Lubi pani książki?

*Lodzia* (mięknie): Oj lubię i bardzo. Jak się książki dorwę, muszę całą przeczytać.

*Ryszard*: Skąd pani ma książki, z czytelni?

*Lodzia*: Nie, teraz wcale nie dostaję. Dawniej to mi tam jedna pożyczala.

*Ryszard*: Wie pani co, panno Lodziu? Ja mam dużo książek, będę pani coraz to nowe pożyczać, dobrze? Ot i teraz mam tu coś dla pani (wyjmuje książkę z teczki). To bardzo ładna książka, może pani ją zna?

*Lodzia* (zaciekawiona): A co to? (czyta tytuł) „Dzie-je grzechu“. E, ja tego nie chcę, to nie dla mnie (chce mu książkę oddać). Cóż to pan, jak książdz, każe mi rachunek sumienia robić i o grzechach czytać? Nie chcę tego, co komu do moich grzechów. Może pan ma co inne?

*Ryszard* (kładzie książkę na stole): Niech pani to na początek przeczyta, to bardzo zajmująca powieść.

*Lodzia*: Dobrze. Późno już, trzeba iść.

*Ryszard*: No panno Lodziu, proszę mi rękę podać, na zgodę.

*Lodzia* (podaje mu rękę). Na zgodę...

*Ryszard* (czekał tylko na to, obejmuje ją silnie i całuje).

*Lodzia* (wyrywa mu się w końcu): Co pan ze mną zrobił? (poprawia włosy i suknię). Proszę iść stąd.

#### SCENA V.

*Genia* (w progu): Jakaś paniusia pyta tam na dole o Karola.

*Ryszard* (bierze szybko kapelusz i teczkę): Żegnam panią, spotkamy się w tramwaju. Jutro znów wstąpię, do widzenia.

*Genia* (na korytarzu): Ot tu, tu, proszę pani, te drzwi otwarte. Jego nie ma, ale z żoną się paniusia rozmówić może.

*Ryszard*: Z żoną?

*Lodzia* (zmieszana): Co panu do tego?

*Stefa* (wykwintna pani, staje w progu). Czy tu mieszka stolarz?

*Lodzia*: Tu, pani życzy?

*Stefa*: Mam meble do odpolitutowania. (sposstrzega Ryszarda, zaskoczona). Ryszard! A ty tu co robisz?

*Ryszard* (lekkko zmieszany, opanowuje jednak sytuację): Widzisz ja tu także w sprawie tych samych mebli.

*Stefa* (mierząc nieufnym spojrzeniem zmieszaną Lodzię i męża): Co za dziwny zbieg okoliczności!

*Ryszard*: Nic dziwnego. Mówiliśmy wczoraj o tych meblach...

*Stefa* (z ironią): I dziś jeszcze pomówimy...



ROSA BAILLY

## PIRENEJE

Konnica chmur w nieboskłonie  
 runęła w cwał na przestrzenie. —  
 Po błękitnej gór arenie,  
 patrz, jak śmigają jej konie.  
 Grzywy czochra zawierucha,  
 para z nozdrzy im wybucha,  
 żar dymiący z boków spływa.  
 Pierś napęczniała niby tarcza żywa.  
 Rzą. — Głęboki poryw tuczy  
 w ich ziejących pyskach huczy,  
 z ślepi błysk za błyskiem lunie. —  
 Ogromne gniewu anioły,  
 zastęp jeźdźców mrocznoczoły,  
 przypędził na tym tabunie. —  
 Hufce powietrze zalały.  
 Lica się widmowe szczerzą  
 nad grzywami wściekłych świerzop  
 i ogierów oszalałych. — —  
 Góry kurczą się w karkach, uciekaćby rade...  
 Las się chwieje po posadę,  
 wdycha pod wiatru kańczugiem...  
 Lecz tu i koniec widziadeł,  
 bo armja, jeszcze tętniąca,  
 już się wsysa w mgłę i zmaća,  
 a spojrzenie osłupiałe  
 ma przed sobą jeno smugi  
 ciężkiej i sennej szarugi.

\*

Tajemnicę stromych grani  
 porywa woda pędząca,  
 co śmiga niebaczna na nic.  
 Goni pod żuchwy krzesanic  
 nad otchłani gardzielami  
 huczy, wije się, roztrąca,  
 tłucze, rwie — darmo mknąć za nią.

Jej ramiona przytuliły  
wprost do serca, z całej siły,  
sekret turniom wyszarpany. —  
Już daleko od nich płynie  
po wąskiej, ciemnej dolinie;  
zmilka wśród piasków nadbrzeży,  
spowolniała jarem bieży.  
Jakaż wielkość wtedy pada w to zacisze!  
Najwznioślejszy ze smętków nad nią się kołysze:  
smęt nieskończoności; — zaś co dnia zdaleka  
widać wierch spiętrzony, jak w tęsknocie czeka.  
Lecz głuźka i niebo te same od wieka.....  
z oryginału francuskiego przełożyła  
**JULJA WIELEŻYŃSKA**

**JÓZEF CZERNI**

ULICA

Asfalt nagle przed tobą schylony.  
Chodnik — wstęga długa rozpaczy.  
Oczy — myśli skłębione  
podwójnych drzew...

Iść — — — — —  
— na spotkanie — — —  
— — — tą drogą  
to znaczy: —  
— — Miłość

czy

— — — Gniew?...

**MIECZYŚLAW ORSKI**

MIT OREŻA

...I stal zabłysła w twoich oczach,  
i zakwitł na twych wargach mit,  
wspomniałeś jak wspaniale kroczył  
dla ciebie, dla ciebie Światowid.

Wspomniałeś wśród purpury krwi,  
wspomniałeś słowem wieczystem,  
jak zachód słońca raz najkrwawiej lśnił,  
wspomniałeś myślą Antychrysta.

Powiedz mi prosto, spojrzysz raz otwarcie,  
czy ty jesteś prawdą dwudziestego wieku:  
ty i bagnet i żołnierz na warcie,  
smutny człowieku...

## MARIA MOROZOWICZ SZCZEPKOWSKA.

### CZTERY POLSKIE SZTUKI

#### *Teatr Polski. „Maskarada“ Iwaszkiewicza, melodramat.*

Iwaszkiewicz umie wybierać tematy. Po „Lecie w Nohant“, gdzie bohaterami są Chopin i George Sand, ta ostatnia psychologicznie bliska naszemu o niej pojęciu, Chopin natomiast budzący bardzo wiele zastrzeżeń, prócz niezawodnego efektu samego ukazania się, wstrząsającego widzom, druga sztuka — Maskarada. W niej pokazuje nam pisarz ostatnie dni Puszkina, wielkiego pisarza, nieszczęśliwego człowieka.

Strukturalnie sztuka o Puszkynie jest znacznie lepsza od pierwszej. Już sam temat podsuwa efekty nieprzeciętne. Car i jego dwór, nadęta wielkość władców, mają wszakże zawsze najwymowniejsze argumenty: więzienia i armaty, wobec nich głos *pieśni*, głos *sztuki*, jest kwileniem słowika na tle ryku targowiska świata. Ten car, a więc świat, depcą wolność poety, niszczą życie człowieka.

Z tego efektownego tematu Iwaszkiewicz umiał wyprowadzić motyw główny, porozkładał dobrze figury i zdarzenia, wychodzimy jednak z teatru z pewnym niedosytem, zamało nam samego Poety, za dużo dekoracyjności. Sztuka ma wielkie powodzenie.

#### *Teatr Mały. Temperamenty Cwojdzńskiego. 3 akty.*

Druga sztuka polska u Szyfmana, drugi wielki sukces. Ta teoria Kreczmerowska o konstytucjonalizmie (zależności psychologii człowieka od jego budowy fizycznej) podana zgrabnie i inteligentnie. pasjonuje widzów, pobudza do dyskusji, do różniczkowania własnego otoczenia, słowem jest pożywna, pożyteczna i unaocznia nam niezbity fakt, że w teatrze *trzeba* coś powiedzieć, że lapidarny o bezpośredni skrót, jakim jest forma dramatyczna, może widza, jeśli to potrafi. *czymś pożywić*, wziąć w bezpośrednie posiadanie. To ziarno *treści* jest w teatrze warunkiem koniecznym. Cwojdzński robi to dobrze. Jego teatr jest oryginalny i pożywny.

#### *Żywy ładunek, sztuka w 3 aktach B. Winawera.*

Autor świetnych feljetonów naukowych, i kilku dobrych komedii tym razem dał sztukę wafłą, mimo oryginalności miejsca (rzecz dzieje się na polskim statku Gdynia — Ameryka). Zmieniają się figury na scenie, ale sztuka razi, brak akcji, chcielibyśmy się śmiać, przyzwyczajeni do cichego, wykwinętego dowcipu Winawera, tym razem niestety, nie mamy się z czego śmiać. Historyjka o pasażerze na gapę, doktorze, jest niewymowna, brak jest plastyki i krwistości.

*Teatr Narodowy. Grube ryby, komedia Bałuckiego.*

Ta najlepsza z komedii Bałuckiego ma dla nas dzisiaj czar starego dagerotypu. Rozrzewnia nas i rozśmiesza naiwność tych naszych dziadków, ich pośpiech, ich zabawy, ich wybiegi, swaty i filozofia życiowa.

Sztuka, pięćdziesiąt lat temu, po premierze, wywołała... zgorzenie. Nieszczęśni artyści, biedni komediopisarze, że też nigdy nie mogą trafić do gustu swoim współczesnym! Zawsze im czegoś nie wolno, zawsze są potępiani i wyklinani. Bałucki odebrał sobie życie. Zaszczuty, zagoniony, zamęczony przez swoich współczesnych.

A jednak poprzez wszystkie spiętrzone trudności i kłody pod nogami pisarz musi być badawczym chirurgiem swego czasu, cierpkim i niewygodnym ironistą wszystkich walk i zmór, na które padają jego oczy. Taka jest jego rola: trudna, *godna* i doniosła. Bo ktoś musi spojrzeć na okrucieństwa i śmieszności kłębowiska ludzkiego, w którym żyje *zgóry*. Mimo, że naraża się na złamanie karku.

Z KSIĄŻEK

*JULIUSZ KLEINER: „W KRĘGU MICKIEWICZA I GOETHEGO“. Rój.*

W „Kregu Mickiewicza i Goethego“ prof. J. Kleinera zawiera 20 i kilka studiów, rozpraw i artykułów, ogłoszonych poprzednio na łamach pism polskich oraz zagranicznych (częściowo w publikacjach oddzielnych) o bogatej tematyce, mianowicie z zakresu krytyki literackiej, historii literatury, rozważań estetycznych czy estetyki filozoficznych, wreszcie teorii literatury i metodologii. Szeroka rozpiętość zagadnień, poruszonych w tej książce pozwala poznać nie tylko Kleinera erudyty, spoufalonego doskonale ze zdobycami zachodniej myśli humanistycznej, lecz również Kleinera, poszukiwacza nowych dróg metodologicznych, zarazem głębokiego krytyka manowców zachodniej systematyki badań literackich, filozofa literatury, w końcu twórczego krytyka literackiego. Odkrywczość studiów i rozpraw prof. Kleinera, zebranych w niniejszym tomie polega między innymi na tym, że uczonej ten umie zjawiska literackie rozpatrywać zarówno w ich autonomicznych postaciach i cechach, jak również ustalić ich wielowarstwowe rodowody t. j. wviaśnić je ze stanowiska pogranicznych dziedzin naukowych: trzeba tu jednak zauważyć, że u Kleinera nie widać przesytu metody, analizy czy materiału erudycyjnego, przesytu jednego aspektu badawczego kosztem drugiego.

Systematyki bowiem, mistrzowski analityki i erudyty, jeden chyba z największych nie tylko w nauce polskiej dopełniają się

w Kleinerze harmonijnie. Filiacje literatury oraz kultury polskiej z prądami zachodnimi, rozgraniczanie granic między plemiennonarodową strukturą polską, zjawiska literackie, a pokrewnymi nurtami wielkich literatur zachodnich, ustalanie ich zasięgu zapładniającego w polską kulturze, ale zarazem jej zdolności asymilatorskich, przetwarzających systemy obcych wartości na rodzime, dalej jej samorodnego wyrazu, oraz pozycji, jaką stanowią jej szczytowe zjawiska w dorobku europejskim — oto najczęstsze punkty wyjścia w studiach Kleinera. W „Kręgu Mickiewicza i Goethego“ zawiera szereg wybornych, głęboko przemyślanych studiów i szkiców powyższego typu.

Zaliczyłbym do nich przede wszystkim drukowaną poprzednio w językach francuskim i niemieckim rozprawę p. t. „Mickiewicz na tle literatury światowej“, oraz rozprawę p. t. „Polska mistyka romantyczna wobec koncepcji paralelizmu światów“. (Zagadnienia z pogranicza badań literackich oraz filozofii). Studia Kleinera nad Goethem są nowym wkładem naukowym polsk. uczono do ogromnej ilościowo, wielojęzycznej literatury naukowej, poświęconej wielkiemu „Weimarczykowi“. Kleinera interesują nie tylko historyczno - literackie zagadnienia, lecz również ich psychologiczne oblicza t. j. ewolucja ich recepcji na obszarze kultur i wieków. W szkicu n. p. Tragizm dwoistego oblicza czynu w Edypie - Królu, zastanawia się Kleiner nad recepcją Edypowego tragizmu odkrywając jego odchylone zresztą od pierwotnego refleksy w Rosmerholmie Ibsena, w Kłątwie Wyśpiańskiego oraz pośrednio w szeregu wielkich dramatów nowożytnych.

Kleiner umie korzystać powściągliwie i trzeba to zaznaczyć krytycznie ze zdobyczy najnowszych filozofii i psychologii, dzięki czemu jego studia posiadają wviatkowo szeroka i rzetelną podbudowę filozoficzną, na ogół rzadką w pracach historyczno - literackich.

Jego 6 rozpraw, zamykających książkę p. t. „W kręgu Mickiewicza i Goethego“ na tle niedawnych, namietnych sporów i dyskusyj na temat metody badań dzieła literackiego wyróżniają się wybitnie rzeczowym, krytycznym stosunkiem do niektórych modnych dzisiaj doktryn metodologicznych oraz klasycznie przedmiotową postawą.

*Jerzy Eugeniusz Płomieński.*

**MORZE W POEZJI POLSKIEJ** — *Antologia poezji marynistycznej. Zebrał i opracował Zbigniew Jasiński. Nakł. Głównej Księgarni Wojsk. Warszawa, 1937 r.*

Zdawałoby się, że morze, że szczególnie ten tak nam drogi Bałtyk, „morze polskie“, otworzy po odzyskaniu niepodległości piękną i rozległą kartę w księdze naszej literatury. Tymczasem w prozie od czasów Żeromskiego, mało kto zwracał się ku niemu z równym przejęciem, i z równym talentem...

Jest jednak dziedzina, w której odzyskanie morza duże znalazło echo. To poezja. Mamy, okazuje się, wiele pięknych wierszy o morzu.

Leży oto przedemną duża, artystycznie wydana księga, p. t. „Morze w poezji polskiej“. Aż dziw, że nie spotyka się jej częściej w polskich księżnicach, w bibliotecznych szafach do- brych znajomych, że nie ma jej wcale w publicznych wypoży- czalniach. A winnaby znaleźć się w każdym domu, w którym mie- szkają ludzie kochający morze i piękne książki. Znajdziemy w niej wielu naszych poetów. Są: Jan Brzechwa, Janina Brzostow- ska, Józef Czechowicz, Maria Czerkawska, Maria Jasnorzewska, Józef Łobodowski, Ludwik Hieronim Morstin, Antoni Słonimski, Leopold Staff, Janusz Stępowski, Julian Tuwim, Kazimierz Wie- rzyński i wielu innych.

Trzeba przyznać, że Polacy nie zawsze z należytym zrozu- mieniem i miłością odnosili się do morza. Wieki średnie, i pol- ska literatura, dotycząca morza z tego okresu, dają nam niejed- nokrotnie tego dowody. Bywało także inaczej. Ale zostawmy teraz te, mimo że zawsze tak pałace, wspominki. Polska po- ezja marynistyczna, szczególnie ta, z ostatniego dwudziestolecia, jest nam tem droższa, że właśnie po odzyskaniu niepodleg- łości powstała. Jest rozległa i interesująca, powinny ją poznać jaknajszersze rzesze czytelników, nie tylko dlatego, że stworzy- li ją poeci o najwybitniejszych współcześnie nazwiskach, ale, że wielkie w niej ukochanie morza, i wielkie z niem człowieka braterstwo.

*Jaromir Budzisz.*

## «OBRONA KULTURY»

*Pismo, które dąży do objęcia całokształtu życia kulturalnego w Polsce.*

**Wolność twórczości duchowej. Nauka.**

**Oświata. Literatura. Sztuka. Wolne zawody.**

Dwutygodnik wychodzi na 1-go i 15-go każdego miesiąca.

«Zdawałoby się, że «obrona kultury» w r. 1938, dum- nym z dobytku kulturalnego i cywilizacyjnego, może się wydać anachronizmem. Tymczasem nasza surowa współczes- ność codziennie obfituje w dowody, iż kultura jest poważnie zagrożona. Nie dość przecież mieć przekonanie, że kultura dominuje nad całym życiem społeczeństwa czy ludzkości. Trzeba widzieć jej wpływ i wyczuwać jej kierowniczą rolę».

*F. A. Ossendowski w „Obronie kultury“ z dn. 1. 1. 1939 r.*

*Redakcja i administracja:*

*Warszawa, Aleje Jerozolimskie 37. Telefon 998.44.*

## U PISARZY I W REDAKCJACH.

„Epoka“ w n-rze z 15 stycznia b. r. zamieszcza syntetyczny a trafnie ujęty artykuł Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego p. t. „Dwadzieścia lat poezji w Polsce odrodzonej“.

„Kurier Bibliofilski“, czasopismo dla miłośników książki i zbieraczy okazji bibliograficznych pod red. Igora Demiana, zapowiada się bardzo interesująco. Pożyteczna i potrzebna placówka.

„Język Polski“, dwumiesięcznik Tow. Miłośników Języka Polskiego, pod red. prof. K. Nitscha. Rok XXIV, zeszyt 1. zawiera: W. T a s z y c k i e g o „Nazwy miejscowe kulturalne“ (o nazwach typu: „Lgota, Wola, Ujazd Pobiedziska“). — K. B u d z k a „Jeszcze w sprawie neologizmów w literaturze“ (na przykładach Orkana). — H. G r a p p i n a „Na marginesie artykułu o dopełniaczu w funkcji okolicznika sposobu“, z odpowiedzią H. S a f a r e w i c z o w e j. — H. U t a s z y n a „Prasłowiański język biskupiński“ (z wykazaniem źródeł utworu M. B e c h c z y z - R u d n i c k i e j). — H. U t a s z y n a „Wawel — na Wawlu“. — Recenzje: o „Szkicach z dziejów rozwoju i kultury języka polskiego T. L e h r a - S p ł a w i Ń s k i e g o, o „Języku polskim w szkołach gdańskich“ W. P n i e w s k i e g o, o „Biuletynie Pol. Tow. Językoznawczego (zesz. 7) i i. — Odpowiedzi Redakcji: Czy można odmieniać „Helsinki“? „Destylacja“ czy „dystylacja“? — Sprawy T. M. J. P.

„Pion“ — lubi zamieszczać zjadliwe uwagi pod adresem czasopism literackich. Czy to aby nie strach przed konkurencją? Przykre, gdy pismo subwencjonowane, a więc w porównaniu do pism niezależnych i walczących o swój byt w doskonałych znajdujące się warunkach, zaczepia i wygłasza z wyniosłością (niczem nieuzasadnioną) surowe sądy o czasopismach redagowanych bądź co bądź przez kolegów po piórze. Kto też naprawdę czyta ten nudny i niepotrzebny „Pion“?

„Obrona Kultury“ stale porusza wiele bardzo żywo nasze społeczeństwo interesujących spraw. Między innymi w ostatnim numerze: „Cyklopowe boje“ (Tendencje totalistyczne w pojmowaniu edukacji narodowej); „Dziwne argumenty p. Stahla“; Prof. Adam Heydel: „Etycyzm a wykształcenie“; Stefan Glaser: „Najciemniejsza plama na historii naszej kultury“; Ludwik Solski: „Czy teatry przeżywają kryzys“; Karol Adwentowicz: „Teatr jest chory“; Wojciech Skuza: „Żyjemy w okresie galarety“ i wiele innych.

„W młodych oczach“ — kolumna literacka dwutygodnika wileńskiego. „Sprawy otwarte“, żywo redagowana przez Józefa Czerniego, zawiera m. in.: Józefa Czerniego „Etycyzm czy troska o kulturę“, wiersze St. Skoniecznego, I. Brzostowskiej, J. Czerniego, St. Czernika, T. Jaszowskiego, recenzje z książek i wiele innych.

### WYJAŚNIENIE W SPRAWIE BIULETYNÓW K. O. J.

Na liczne zapytania, wyjaśniamy, że „Biuletyny K. O. J.” redaguje w Skawie p. Julia Wieleżyńska, (nie redakcja Skawy) i ona także prowadzi w wielu innych pismach propagandę K. O. J. Skawa natomiast chętnie udziela gościny autorom tak nowej jak i starej pisowni używającym. Tak na przykład na wyraźne życzenie autorów artykuły J. Wieleżyńskiej i S. J. Witkiewicza drukujemy starą pisownią. Jako pismo literackie jednak Skawa z samą akcją K. O. J. nie współpracuje, jak wogóle sprawom tym wiele miejsca poświęcać nie może.

Redakcja.

### PLEBISCYT

#### „KOGO NIE WOLNO POMINAĆ W ANTOLOGII POEZJI POLSKIEJ 1918—1940”.

Zwracamy się do wszystkich czytelników Skawy z apelem, aby nam dopomogli w decydującym i ostatecznym uzupełnieniu będącej w opracowaniu „Antologii Poezji Polskiej 1918 — 1940”. Aby nie pominąć nikogo, kto w tej antologii znaleźć się powinien, rozpisujemy plebiscyt, którego warunki podajemy poniżej.

#### WARUNKI PLEBISCYTU:

1) Każdy czytelnik „Skawy” może wziąć udział w plebiscycie, pod warunkiem załączenia do odpowiedzi kuponu wyborczego. Kupony zamieszczone będą we wszystkich numerach Skawy w miesiącach marcu, kwietniu i maju.

2) Każdy kupon upoważnia do nadesłania odpowiedzi z wymienieniem trzech autorów, oraz ewentualnie trzech ich utworów. Do odpowiedzi załączyć można uzasadnienie wyboru wierszy (bardzo pożądane, ale nie konieczne), które nadsyłający uważa za tak dobre, że powinny być zamieszczone w antologii. Poeta umieszczony na pierwszym miejscu otrzymuje w ostatecznym obliczeniu 15 punktów, na drugim 10, na trzecim 5. Odpowiedzi bez kuponów będą nieważne.

3) Głosowanie może być jawne (należy podać nazwisko i adres) lub anonimowe (nazwisko i adres w zalakowanej kopercie dołączonej do odpowiedzi). Koperta będzie otwarta tylko w razie przyznania nagrody. I nagroda wynosić będzie zł. 50, II-ga 10 cennych, wybranych przez redakcję książek, III i IV po 5 książek. Listę książek zamieścimy w nast. nrze. W razie kilku jednakowych odpowiedzi nagrody przydzielą się przez losowanie.

4) Na podstawie ilości otrzymanych punktów w numerze **czerwonym Skawy** podamy spis pisarzy, których czytelnicy chcieliby widzieć we wzorowej antologii poezji polskiej ostatniego dwudziestolecia, oraz wymienioną przez głosujących tytuły ich utworów. Zastrzegamy sobie również podanie niektórych ciekawszych uzasadnień.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem „Skawy”, Warszawa, **Nowogrodzka 23 m. 5**. Za odpowiedzi najbardziej zbliżone do idealnej listy poetów (tych, którzy otrzymali najwięcej punktów) rozdzielone zostaną nagrody książkowe.



**KSIAŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE.**

Rosa Bailly — Alpes, Paris, Ed. De La Forge.  
 Fryderyk Bertisch — Kwiaty na ugorze, Stanisławów 1939.  
 Edward Bładowski — Zieleń i czerwień, W-wa, 1939.  
 Tadeusz Bocheński. Przekład Hezjodowej Tarczy Heraklesa, Cieszyn.  
 Tadeusz Bocheński. Poetyckie ekspresje uczuć, Lublin.  
 Tadeusz Juliusz Demczyk — Tworzę życiorys, Bibl. „Okolicy poetów“, 1939.  
 Morze w poezji polskiej — Antologia, W-wa, Główna Księgarnia Wojskowa.  
 Aleksander Jackiewicz — Człowiek i jego cień, W-wa, F. Hoesick, 1939.  
 Jadwiga Kopciowa — Lebioda Leśna, W-wa, F. Hoesick, 1939.  
 Jalu Kurek. Drzewo boleści. Kraków, 1939. Egzemplarz niesprzedany.  
 Julian Przyboś — Równanie serca. W-wa F. Hoesick, 1939.  
 Miron S. Rozwar — Śpiewy pomorskie, Poznań, 1939.  
 Marian Sulima — Panna Ewa, W-wa, F. Hoesick, 1939.  
 Stanisław Skoneczny — Ziemia była szeroka, W-wa, F. Hoesick, 1939.  
 Andrzej Sieczkowski — Niebo przez liście, W-wa, F. Hoesick, 1939.  
 Ateneum, czasopismo literackie, W-wa.  
 Kamena, miesięcznik poetycki, Chełm Lubelski.  
 Kurier Bibliofilski, Kraków.  
 Mosty, W-wa.  
 Nasz wyraz, miesięcznik, Kraków.  
 Obrona Kultury, dwutygodnik, W-wa.  
 Okolica poetów, miesięcznik, Ostrzeszów Wlkp.  
 Język Polski, Kraków.  
 Neka, Tygodnik Wielkiego Pomorza, Wejherewo.  
 Sprawy otwarte, dwutygodnik, Wilno.  
 Sygnały, dwutygodnik, Lwów.  
 Wiry, dwutygodnik społeczno - 1., W-wa.  
 Zagwie, miesięcznik, Radom.

**ERRATA DO N-ru 2-giego.**

Str. 3, wiersz 27 od góry, jest: „Katerwa B., 28) Szcz. Jeleński“, powinno być: „Katerwa B. (Szcz. Jeleński).  
 Str. 3, wiersz 31 od góry, jest „Zerzycki K.“, powinno być: Leczycki K.,  
 oraz w wierszu 4 str. 4, pominięto nazwisko K. Wyki.

**KUPON PLEBISCYTOWY**

==== **«S K A W Y»** ====

# S K A W A

JEST NAJTAŃSZYM  
PISMEM LITERAC-  
KIM W POLSCE:

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYLKO 3 ZŁ.  
" " ROCZNA " 6 "

**PRENUMERUJCIE S K A W E!**

REDAKCJA: WARSZAWA, NOWOGRODZKA 23 m. 5  
ADMINISTRACJA: " " TEL. 9-55-88.

„KURIER BIBLIOFILSKI” — pismo dla miłośników książki i zbieraczy okazji bibliograficznych przynosi w każdym numerze bogaty materiał informacyjny oraz obszerny biuletyn książek przygodnych, rzadkich, ciekawych.

W „K. B.” drukowali m. inn. artykuly — dr. CHARKIEWICZ Walerian, CZERNIK Stanisław, HUSZCZA Jan, JESIONOWSKI Alfred, PIETRZYKOWSKI Tadeusz.

Prenumerata za 24. numery: 4,20, za 12. numerów: zł. 2,50.

Adres wyd. KRAKÓW, Floriańska 29, tel. 179-32 i 164-74.

Kto pragnie z pismem wejść w kontakt, musi je przede-  
wszystkiem zaprenumerować!

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 23 m. 5 TEL. 9-55-88

Ceny ogłoszeń: cała stronica poza tekstem — 120 zł. w tekście — 140 zł., jeden milimetr szer. szpalty — 3 zł. w tekście i poza tekstem.

Druk „Odrodzenie” Marszałkowska 52 tel. 9-04-10



P.I  
298